

□ Czas czytania: 10 min.

Był jednym z wielu młodych imigrantów w XIX-wiecznym Turynie. Miał to szczęście, że wcześniej spotkał księdza Bosko i stał się jego pierwszym „prawdziwym” świeckim salezjaninem.

Ksiądz Bosko, bardzo młody kapłan, przybył do Turynu w listopadzie 1841 roku. Rozglądając się wokół i schodząc do więzień wraz z księdzem Cafasso, zdał sobie sprawę z dramatycznej sytuacji, w jakiej znaleźli się chłopcy w mieście. Modlił się do Pana, aby pomógł mu „coś” dla nich zrobić.

Rankiem 8 grudnia, w święto Maryi Niepokalanej, spotkał Bartłomieja Garelli, murarza z Asti. W zakrystii przylegającej do kościoła św. Franciszka z Asyżu, udzielił mu pierwszej lekcji katechizmu i zaprzyjaźnił się z nim.

Po południu tego samego dnia, podczas wieczornej celebracji, ksiądz Bosko zobaczył trzech małych murarzy śpiących, jeden obok drugiego, na stopniu ołtarza. Kościół był zatłoczony ludźmi, a na ambonie kaznodzieja wygłaszał wyartykułowane kazanie. Ksiądz Bosko podszedł do nich na palcach, ucisnął pierwszego i szeptem zapytał:

Jak się nazywasz?

– Karol Buzzetti – odpowiedział zmieszany chłopiec, spodziewając się policzka od księdza. – Przepraszam, starałem się słuchać kazania. Ale nic nie zrozumiałem i zasnąłem.

Zamiast zbesztania, Karol zobaczył dobry uśmiech na twarzy księdza, który kontynuował szeptem:

– A to kto?

– Mój brat i mój kuzyn – powiedział Karol, potrząsając dwoma małymi śpiochami – Pracujemy jako murarze przez cały tydzień i jesteśmy zmęczeni.

– Chodźcie ze mną – szepnął znowu ksiądz Bosko. I odprowadził ich do zakrystii.

„To byli Karol i Jan Buzzetti oraz Jan Gariboldi”, przypomniał ze wzruszeniem ksiądz Bosko swoim pierwszym salezjanom. Mali murarze z Lombardii, którzy byli z nim przez trzydzieści, czterdzieści lat, których znali wszyscy na Valdocco.

„Wtedy byli zwykłymi chłopcami na posyłki, teraz są mistrzami budowlanymi, cenionymi i szanowanymi budowniczymi”.

Braciszek Józef

Buzzetti pochodzili z Caronno Ghiringhello (obecnie Caronno Varesino), dużej rodziny, która żyła z pracy na roli. Ale w rodzinie Antoniego i Józefy urodziło

się siedmioro dzieci. Było to zbyt wiele osób do wykarmienia na tej małej ziemi. Gdy tylko przekroczyli próg dzieciństwa, ojciec Antoni pomyślał o wysłaniu dwóch starszych synów do Turynu, gdzie znajdowała się kolonia murarzy z Lombardii, którzy dobrze zarabiali i wracali z dużą ilością oszczędności.



Cała rodzina Buzzetti. Pośrodku w drugim rzędzie Józef (z brodą). Po lewej jego brat Karol; po prawej pozostali trzej bracia.

Karol i Jan powiedzieli księdzu Bosko, że wyjechali furmankami z Caronno, w grupie z innymi starszymi wieśniakami, którzy byli obeznani z długą podróżą (około stu kilometrów). Częściowo na wozie, częściowo pieszo, szli niosąc tobołek ze swoimi ubogimi ubraniami i spali po jakiś zagrodach. „Teraz nadchodzi martwy sezon dla nas, murarzy – mówił Karol – Za kilka dni wyruszymy w drogę powrotną do naszego kraju. Wrócimy wiosną i zabierzemy ze sobą naszego trzeciego brata, Józefa”.

W ciągu tych kilku dni ksiądz Bosko zaprzyjaźnił się z nimi. Karol i Jan powrócili trzy dni później, w niedzielę, na czele grupy kuzynów i sąsiadów. Ksiądz Bosko odprawił Mszę św. i wygłosił do nich płomienne kazanie. Potem zjedli razem śniadanie, siedząc w słońcu na małym dziedzińcu za zakrystią. Rozmawiali o

dalekich rodzinach, które wkrótce znów zobaczą, o pracy, o pierwszych oszczędnościach, które mogliby przynieść do domu. Dobrze dogadywali się z księdzem Bosko, wydawało się, że zawsze byli przyjaciółmi.

Wiosną 1842 r. bracia Buzzetti wrócili z Caronno do Turynu, w towarzystwie młodszego brata, który właśnie skończył 10 lat (urodził się 12 lutego 1832 r.). Józek – blady chłopiec, cały oszołomiony. Ksiądz Bosko patrzył na niego z czułością, mówił do niego jak do przyjaciela. Józek przywiązuje się do niego jak szczeniak. Już nigdy się od niego nie oderwie. Nawet gdy bracia, po nowym sezonie pracy, wracali do Caronno, on (także dlatego, że długa droga go wyczerpała) pozostawał ze „swoim” księdzem Bosko. Od wiosny 1842 r. do świtu 31 stycznia 1888 r., kiedy ksiądz Bosko umierał, Józef zawsze był u jego boku, spokojny świadek całej ludzkiej i boskiej historii kapłana, „który go kochał”. W naszych nieufnych i demitologizujących czasach wiele wydarzeń z życia księdza Bosko zostałyby sklasyfikowanych jako „legendy”, gdyby nie były widziane prostymi oczami murarza z Caronno, który zawsze był tam, rzut kamieniem od „swojego” księdza Bosko.

„Pójdiesz i zostaniesz ze mną?”.

Ksiądz Bosko chodzi od budowy do budowy, aby spotkać się ze swoimi chłopcami i sprawdzić, czy narzucone im warunki pracy nie są nieludzkie. Ze smutkiem patrzy, jak Józef nosi cegły i wapień od świtu do zmierzchu. W tych oczach jest tyle dobroci i inteligencji. Za kilka lat zadzwoni do niego i zaproponuje mu dzielenie życia. Michał Rua, ten, który zostanie drugim księdzem Bosko, jest jeszcze czteroletnim dzieciakiem. Ale ten, który będzie jego silnym ramieniem, jego pierwszym, prawdziwym „koadiutorem” w budowie Dzieła Salezjańskiego, już przybył. Jest nim Józef Buzzetti.

Oratorium przeniosło się z zakrystii kościoła św. Franciszka do Szpitalika Markizy Barolo, z cmentarza do młyna, z rudery na łąkę. Kończy w szopie na Valdocco. Tymczasem ksiądz Bosko mówi swoim chłopcom, że będą mieli wielkie oratorium, warsztaty i dziedzińce, kościoły i szkoły. Nie jeden mówi, że ksiądz Bosko oszalał. Józef Buzzetti stoi obok niego. Słucha go, zapala się na jego uśmiech, nawet nie myśli, że Ksiądz Bosko może się mylić.

W maju 1847 r. Opatrzność i niekończący się deszcz przyniosły księdzu Bosko pierwszego chłopca, który wymagał zakwaterowania „dzień i noc”. W tym samym roku przybyło sześciu innych: sieroty pozostawione same sobie z dnia na dzień, młodzi imigranci szukający pierwszej pracy. Dla nich ksiądz Bosko przekształcił dwa sąsiednie pokoje w małe dormitorium: umieścił łóżka, a na ścianie powiesił tabliczkę z napisem „Bóg cię widzi”. Aby zarządzać tą pierwszą mikroskopijną wspólnotą (karmioną przez ogród warzywny i z garnka mamy

Małgorzaty), ksiądz Bosko potrzebował młodego pomocnika, któremu mógłby zaufać z zamkniętymi oczami, chłopca, który zostałby z nim na zawsze i byłby pierwszym z tych kleryków i księży, których Matka Boża obiecała mu tak wiele razy we śnie. Tym chłopcem miał być Józef Buzzetti.

On sam wspomina: „Był niedzielny wieczór, a ja patrzyłem na rekreację moich towarzyszy. Tego dnia przyjąłem Komunię św. z moimi braćmi, więc byłem naprawdę szczęśliwy. Ksiądz Bosko bawił się z nami, opowiadając nam o najdroższych rzeczach na świecie. Tymczasem zbliżała się noc, a ja przygotowywałem się do powrotu do domu. Kiedy podszedłem do Księdza Bosko, by się z nim pożegnać, powiedział:

– Brawo, cieszę się, że mogłem z tobą porozmawiać. Powiedz mi, czy przyszedłbyś i został ze mną?

– Być z Księdzem? Proszę to wyjaśnić.

– Muszę zebrać kilku młodych mężczyzn, którzy chcą pójść za mną w dzieło Oratorium. Ty byłbyś jednym z nich. Zacznę cię uczyć. I, jeśli Bóg pozwoli, będziesz mógł zostać księdzem w odpowiednim czasie.

Spojrzałem w twarz księdza Bosko i pomyślałem, że śnię. Potem dodał:

– Porozmawiam z twoim bratem Karola i zrobimy to, co jest najlepsze w Panu”.

Wywoływacz „cudów”

Karol zgodził się i Józef zamieszkał z księdzem Bosko i jego matką Małgorzatą. Ksiądz Bosko powierzył mu pieniądze i finanse domu, z całkowitym zaufaniem. W ciągu dwóch lat przygotował go do noszenia czarnego stroju kleryków. Wszyscy nazywali go „klerykiem Buzzettim”. To on wziął Michała Rua na bok w duszącym sierpniu i dał zmęczonemu upałem młodemu człowiekowi dużo do myślenia, ponieważ ten nie angażował się już w swoje studia.

Z roku na rok Józef Buzzetti przejął od księdza Bosko i rozwijał: szkołę śpiewu i zespół muzyczny, warsztaty (zwłaszcza prasę drukarską, której stał się głównym kierownikiem), nadzór nad pracami budowlanymi, administrację Dzieła, które stawało się coraz większe, organizację loterii, które przez lata były niezbędnym tlenem dla Oratorium.

Był mimowolnym inicjatorem dwóch słynnych „rozmnożeń” księdza Bosko. Zimą 1848 r., podczas wielkiej uroczystości, w momencie rozdawania Komunii trzystu chłopcom, ksiądz Bosko zdał sobie sprawę, że w puszcze było tylko osiem lub dziewięć hostii. Józef, który służył do Mszy świętej, zapomniał przygotować kolejną puszkę pełną hostii do konsekracji. Kiedy ksiądz Bosko zaczął rozdawać Eucharystię, Józef zaczął się pocić, ponieważ zobaczył (trzymając patenę), że hostie rosną pod

rękami księdza Bosko, aż wystarczy ich dla wszystkich. Następnego roku, w Dzień Zaduszny, ksiądz Bosko wrócił z wizyty na cmentarzu z tłumem głodnej młodzieży, której obiecał gotowane kasztany. Mama Małgorzata, której Józef źle przekazał słowa księdza Bosko, przygotowała tylko mały garnuszek. Józef, w ogólnym zamieszaniu, próbował uświadomić księdzu Bosko, że chodzi tylko o tę małą ilość kasztanów. Ale Ksiądz Bosko zaczął je rozdawać z rozmachem, chochlą. Już wtedy Józef zaczął oblewać się zimnym potem, ponieważ garnek w ogóle się nie opróżniał. Na koniec wszyscy mieli ręce pełne gorących kasztanów, a Józef patrzył ze zdumieniem na „magiczny garnek”, z którego ksiądz Bosko nadal radośnie łowił kasztany...

Potem nadszedł czas, kiedy kilka osób chciało pozbyć się księdza Bosko, a Józef (który zapuścił imponującą rudą brodę) stał się jego opiekunem i obrońcą. „Patrzyliśmy na niego niemal z zazdrością”, wspomina Jan Chrzyciel Francesia, „kiedy wychodził z Oratorium, aby wyjść naprzeciw księdzu Bosko, który musiał wrócić na Valdocco z Turynu. Potrzebna była silna ręka i pełne serce, a Buzzetti był właściwą osobą”. Kiedy zabrakło Józefa z jego rudą brodą, pojawił się tajemniczy pies z siwą sierścią, którego z szacunkiem i strachem obserwowali Mama Małgorzata, Michał Rua i Jan Chrzyciel Francesia, i którego Józef musiał bronić przed kamieniami innych przestraszonych chłopców...

Dni melancholii

25 listopada 1856 roku zmarła Mama Małgorzata. Był to gorzki dzień dla księdza Bosko i wszystkich jego bliskich. Był to również dzień, który oznaczał koniec „Oratorium Rodzinnego”, które Józef widział i pomagał rozwijać. Chłopcy stali się tak liczni i z każdym miesiącem ich przybywało. Matka już nie wystarczała, potrzebni byli nauczyciele, profesorowie, przełożeni. Stopniowo Józef przekazywał administrację księdzu Alasonattiemu, szkołę śpiewu i zespół księdzu Cagliero, drukarnię kawalerowi Oreglia z Santo Stefano. Już dawno zdjął czarne szaty duchowne, ponieważ zbyt wiele zajęć nigdy nie pozwoliło mu na poważne kontynuowanie studiów. Teraz widział siebie zaangażowanego w coraz więcej drobnych prac: pomagał w refektarzu, nakrywał stoły, wysyłał katolickie czytania, chodził do miasta w poszukiwaniu pracy w warsztatach.

Pewnego dnia melancholia i zniechęcenie wzięły nad nim górę i postanowił opuścić Oratorium. Porozmawiał ze swoimi współbraćmi (którzy zajmowali odpowiedzialne stanowiska w turyńskim przemyśle budowlanym), znalazł pracę i poszedł pożegnać się z księdzem Bosko. Z typową dla siebie dosadnością powiedział mu, że teraz staje się ostatnim kołem u wozu, że musi być posłuszny tym, których widział przybywających jako dzieci, których nauczył dmuchać w nos. Wyraził smutek

z powodu konieczności opuszczenia domu, który pomógł zbudować od czasów szopy. Dla księdza Bosko był to ogromny cios. Ale nie był zadufany w sobie. Nie powiedział: „Biedny ja! Zostawiasz mnie w niezłym bałaganie!”. Zamiast tego pomyślał o nim jako o swoim najdroższym przyjacielu, z którym dzielił tak wiele szczęśliwych i bolesnych godzin.

„Znalazłeś już pracę? Dostaniesz dobre wynagrodzenie? Będziesz potrzebował pieniędzy na kilka pierwszych dni”. Wspomniał o szufladach swojego biurka: „Znasz je lepiej niż ja. Weź wszystko, czego potrzebujesz, a jeśli to nie wystarczy, powiedz mi, czego potrzebujesz, a ja ci to przyniosę. Nie chcę, abyś, Józefie, musiał cierpieć z mojego powodu jakiegokolwiek niedostatku”. Potem spojrzał na niego z miłością, którą tylko on miał dla swoich chłopców: „Zawsze się kochaliśmy. I mam nadzieję, że nigdy mnie nie zapomnisz”. Wtedy Józef zalał się łzami. Płakał przez długi czas i powiedział: „Nie chcę opuszczać księdza Bosko. Zostanę tu na zawsze”.

Kiedy w grudniu 1887 r. ksiądz Bosko musiał przejść przez ostatnią chorobę, Józef Buzzetti poszedł czuwać przy jego łóżku. Miał teraz 55 lat. Jego bajeczna ruda broda stała się zupełnie biała. Ksiądz Bosko nie mógł już prawie mówić, ale nadal próbował żartować, pozdrawiając go wojskowym pozdrowieniem. Kiedy udało mu się wymamrotać kilka słów, powiedział do niego: „Och, mój drogi! Zawsze jesteś moim ukochanym”.

30 stycznia był ostatnim dniem życia księdza Bosko. Około pierwszej po południu Józef i ks. Viglietti znaleźli się przy jego łóżku. Ksiądz Bosko otworzył szeroko oczy, próbował się uśmiechnąć. Następnie podniósł lewą rękę i pozdrowił ich. Buzzetti zalał się łzami. W nocy, o świcie, ksiądz Bosko zmarł.

Teraz, gdy jego wielki przyjaciel odszedł do Boga, Buzzetti poczuł, że jego życie jest puste. Wyglądał na zmęczonego. „Patrzyliśmy na Józefa”, wspomina ks. Francesia, „tak bardzo lubiącego księdza Bosko, jak na jedną z tych cennych rzeczy, które przypominają nam tak wiele i tak wiele wspomnień. Spędzał większość dnia w kościele, przy tabernakulum, przed obrazem Maryi Wspomożycielki.

Zrobili mu słodką przemoc, aby poszedł do domu salezjańskiego w Lanzo, aby oddychać lepszym powietrzem. „Idę tam chętnie”, powiedział na koniec, „ponieważ Ksiądz Bosko również tam poszedł i ponieważ tam zmarł drogi ksiądz Alasonatti. Pójdę tam, a potem znowu pójdę zobaczyć się z Księdzem Bosko”.

Zmarł ściskając w dłoniach różaniec. Miał 59 lat. Było to 13 lipca 1891 roku.